

# Siedem minut i trochę, i inne czasy w różnych kierunkach

Adam Poprawa

Nie wybrałem się w zeszłym roku na koncert McCartneya do Warszawy. Przedsięwzięcie, z podróżą i hotelem, wydało mi się dość ekspensywne, we Wrocławiu najpewniej bym poszedł. Był przecież jeszcze jeden powód, zwłaszcza że nie pojechałem, ale też naprawdę. Owszem, bardzo, bardzo niewielu ludzi zostało na świecie, których chciałbym zobaczyć, wśród nich zaś przede wszystkim McCartneya. Z drugiej jednak strony, koncert jest zbyt społeczny: wolałem uniknąć sytuacji, w której tłum obok mnie kołysałby się ze śpiewem „la-la-la, la-la-la-la, hej Dżud”. Bez Beatlesów byłbym kimś innym, trudno by więc przyszło tak się kolebać i machać rękami w towarzystwie, które w większości przyszło się zabawić. Skąd wiem, że w większości? Z wielu lat społecznych medytacji.

No i dopadło mnie z innej strony. Państwo pewnie już wiedzą, z której, ale jeszcze jedno wspomnienie. Na pierwszej otóż polskiej (zresztą wszechświatowej) konferencji beatlesologicznej, zorganizowanej na Uniwersytecie Łódzkim w maju 2008 roku, Gary Burns ilustrował swój referat fragmentami filmu Susan Winslow *All This an World War II* (1976). Reżyserka zmontowała fragmenty fabuł i dokumentów z lat 40., wykorzystując także zdjęcia przedsta-

wiające wojnę. Ze ścieżki dźwiękowej słysząc natomiast piosenki Beatlesów: nie w oryginalnym co prawda wykonaniu, niemniej i tak doświadczeniem szokującym było zobaczenie na ekranie Hitlera, któremu to obrazowi towarzyszy *The Fool on the Hill*. Celem takiej prowokacji mogło być pytanie o społeczeństwo masowe, w którym pojawiły się i faszyzm, i beatlemania. Film, przypomnę, powstał przed prawie czterema dekadami, przypuszczam więc, że intencje autorki nie zostały zdominowane przez autokreację i nad sensami kontrastowych zestawień reżyserki da się wcale poważnie pomyśleć.

W ostatnich zaś dniach (piszę w kwietniu) dopadła mnie więc podobna jukstapozycja, tyle że o głębszych interpretacjach mówić tym razem nie sposób. Chodzi o propagandowy filmik z okazji rocznicy wstąpienia Polski do Unii Europejskiej. Leci więc krótki kurs historii, Polska rośnie w siłę, ludzie bawią się na plażach i motorach, wiatraki produkują prąd, autostrady pędzą nawet bez samochodów. Ja to wszystko rozumiem, tylko dlaczego ze ścieżki płynie *Hey Jude*? Taką piosenkę dać do byle reklamówki? Nie jest to oryginalne nagranie Beatlesów, pochodzi najprawdopodobniej z warszawskiego

koncertu McCartneya, który zresztą w ostatniej scenie filmiku pokazuje się z miną cokolwiek stańczykowską.

McCartney wystąpił na Stadionie Narodowym, zbudowanym na miejscu Stadionu X-lecia, który na początku lat 90. był osławionym targowiskiem. Scenki z tamtego handlowiska też są w filmiku przypomniane, gdyby jednak sens przemian miał polegać na zastąpieniu Stadionu X-lecia (ciekawszego zresztą architektonicznie) Stadionem Narodowym, to właściwie szkoda w ogóle było brać się do całej historycznej roboty. Na ulicy Nankiera we Wrocławiu wmurowano w chodnik mosiężne tablice przedstawiające kilkanaście dat z historii miasta: od początków, przez wielowiekowe multikulti, aż do Festung Breslau w 1945 oraz powodzi i Kongresu Eucharystycznego, oba wydarzenia z 1997 (wiadomo: nieszczęścia chodzą parami). Na ostatniej tablicy jest stadion zbudowany na mistrzostwa w piłce kopanej w roku 2012. Nie raz chodzę tędy do budynku filologii; gdy zbliża się data finałowa, dopada mnie przygnębienie: czy warto było dla takiego zwieńczenia to miasto zakładać?

Wróćmy przecież do *Hey Jude*, tak spostonowanej w obrazkowej agitce. Owszem, przyjęcie było żywe, tyle że nie skupiano się na istocie. Nie interesuje mnie zatem piaskownica, w której chłopczyki z Platformy Sprawiedliwości psują babki chłopczykom z Prawa Obywatelskiego i nawzajem, jakoś tak się chyba te partie nazywają. Zastanawiano się też nad kosztami produkcji. Skoro w pierwszych pojawiających się rozliczeniach nie było punktu dotyczącego praw autorskich, to miałem nadzieję, że przy okazji Polska dostanie po łapach za aksjologiczną niegramotność. Ale nie: w „Gazecie Wyborczej” z 24 kwietnia piszą, „że około 319 tys. zł kosztowały prawa autorskie do utworu The Beatles”. Hmm. Podejrza-

nie szybko uzyskano zgodę na wykorzystanie piosenki i wizerunku McCartneya. Twórcy bezpretensjonalnego dokumentu *Good Ol' Freda*, o sekretarce Beatlesów, przez dwa lata starali się o zgodę na użycie oryginalnych rejestracji zespołu.

A ze wspomnianej publikacji prasowej dowiedziałem się również, „że nie bez znaczenia dla kosztów jest także sama koncepcja viralu, czyli krótkiego nagrania z premierem Tuskiem”. Jak konstataje pytany przez „Gazetę” delikwent od wideo, „pomysł zawsze jest drogi”. O matko ludowa. Jeśli dobrze zrozumiałem, komuś wypłacono sowitą kwotę tylko za to, że zaproponował, iżby pokazywanie filmiku poprzedzić scenką z aktualnym premierem, który przed kamerą śpiewa parę słów z *Hey Jude*, śmiejąc się przy tym jak sztubak na pierwszej imprezie. No nie, bez przesady: wiadomo powszechnie, że wysokim osiągnięciem męża autorki prozy wspomnieniowej *Między nami* było mycie okien wysokościowców, nie ma więc potrzeby, by w kolejnym wyzwaniu próbował sprostać beatlesowskiej piosence, niemiłosiernie ją przecież kalecząc.

Żeby się po tym wszystkim pozbierać, wróciłem do pewnej sekwencji z filmu *Nieznośna lekkość bytu* (1988) Philipa Kaufmana. Juliette Binoche grająca Teresę fotografuje Pragę, trochę zresztą udawaną, bo film kręcono gdzie indziej. Wmontowane zostały zresztą zdjęcia dokumentalne z czasów praskiej wiosny. Teresa chłonie zatem miasto, trochę po flanersku, trochę estetycznie. Efektowi stop-klatki (z dźwiękiem migawki) towarzyszy zamiana koloru na czarno-biały obraz. No i olśniewające portrety samej Binoszki: operatorem filmu był Sven Nykvist.

Ha, gdy lata temu czytałem powieść Kundery, postać Teresy wydawała mi się kreacją cokolwiek mizoginiczną. Ona bowiem – w sobie, +

wokół siebie – zamyka w jakiś sposób Tomasza. Scenariusz filmu nie zmienia zasadniczych wątków historii tej pary, lecz tamto lekturowe wrażenie zniknęło, ustępując egzystencjalnemu współczuciu. Jasne, Juliette Binoche: wielka jest potęga obrazu.

No tak, ale powtarzałem właśnie teraz ten praski epizod z fotografującą Binoszką, gdyż ze ścieżki dźwiękowej słysząc fragment *Hey Jude* w znakomitej interpretacji Marty Kubišovej. I jak pięknie zaczyna wszystko grać: 1968 rok jako czas praskiej wiosny i nagrania piosenki Beatlesów, wersja czeskiej artystki powstała zresztą wkrótce potem. Piosenka otwiera pierwszy album sygnowany przez Kubišovą, *Songy a balady*, który zdążył się jeszcze ukazać w roku następnym. Z drugiego wydania (1970) usunięto utwór *Modlitba pro Martu*, piosenkę, która stała się symbolem czeskiego sprzeciwu po inwazji Układu Warszawskiego. Zgoda, to wiadomo skądinąd, niemniej samo połączenie obrazu i śpiewanej przez Kubišovą piosenki działa dzięki połączeniu i przekazywaniu energii estetycznej, egzystencjalnej, społecznej.

Jest jeszcze zresztą pewna synchronia, absurdalna, ale i z nieobojętnym rozwiązaniem egzystencjalistycznym (patrz: *Mit Syzyfa*). W archiwalnym teledysku Kubišovej pięknie i przejmująco widać, jak bardzo tu, w Europie Środką, chcieliśmy zachować łączność z kulturą zachodnią. 20 sierpnia późnym wieczorem Sowieci z wojskami wasalskimi wkroczyli do Czechosłowacji, na 30 sierpnia wypadła premiera singla Beatlesów *Hey Jude / Revolution* (i jeszcze do tego kwestia rewolucji...). Muzyka pozostała, tam można się było chronić.

W *Powrocie do domu* (1988) Hala Ashby'ego wyjeżdżający do Wietnamu amerykański kapitan (grany przez Bruce'a Derna) zachęca żonę do łóżka wypowiedzią stylizowaną na rozkaz

w punktach (jaki autor, taki żart). Następnie filmowane są plecy bohatera, widać przesunięty do tyłu blaszany nieśmiertelnik, słysząc postękiwanie szczytującego mężczyzny. W twarzy Sally, czyli Jane Fondy, widać co najmniej trochę niepewnego oddalenia. Kiedy po chwili rozlegają się wyciszone dźwięki *Hey Jude*, pełni początkowo funkcję nieledwie komiczną. Piosenka płynie dalej, małżonkowie żegnają się już w samochodzie, potem poznają się żony dwóch oficerów. Piosenka Beatlesów staje się tęsknym i nieco ironicznym komentarzem do zagubienia Sally. Jasne, ten ironiczny kontrast został pomyślany. ●